

LEON GOZLAN.

Historia o stu trzydziestu kobietach

12

Trudno jednak, żeby tak krwawy bój długo jeszcze potrwał. Obydwaj przeciwnicy, widząc że trzeba krócić wszelkim kosztem, przechylały się w tył, i podnosząc swoje bronie, zamierzają sobie zadać raz stanowczy, ostateczny. Muszkuły ich naciągają się jak liny, obydwaj topory spadają razem, spotykają się w powietrzu z straszliwym łoskotem, i pękają jak szklane; rozpryskując się na kawałki.

— Dostyc już, dostyc, wołaly pomieszane głosy majtków i deportowanych, obecnych tej strasznej walce, dostyc! dostyc! dostyc!

Prozerpina nawet, która życzy koniecznie śmierci mulatowi, lekając się by w przypadku, gdyby on został zwycięzcą, nie dostała się w jego posiadanie, woła wraz z innymi „dostyc! dostyc! dostyc! tego!” Rzuca się na szyję Ascottowi, obejmując, ściska, okrywa go pocałunkami; zdejmując z siebie szal, łup, który zdarła z pani Forster i obwija nim poranioną głowę kochanka. Chce i żąda koniecznie, żeby ta straszliwa walka skończyła się „Prześciszcie już tego”.

— Nie przestaniemy, zawołał Ascott, on albo ja muszę zginąć.

— Tak, on albo ja — zakrzyczał ze swojej strony mulat.

I z tem samem zgodnem potęśnieniem, które pchnęło ich obydwóch do porwania razem za topory, obydwaj porywają za muszkiety leżące przy nich. Przez kilka chwil szukają pomiędzy tłumem sposobnego miejsca do swobodnego celowania do siebie, rozpychają ten tłum kolbami swoich muszketów, ale namiętno, wszędzie pełno, tłok ich ściska, tamuje wszelkie poruszenia. Widząc niepodobieństwo odbycia tej ostatecznej walki na pomoście, rzucają się obaj, jeden na maszt wielki, drugi na przedni, drapiąc się jak koty na wierzchołki tych masztów.

I już są tam wysoko, w tej sferze wiatru, który rozrzuca ich włosy i spencery cdyra i stoją na drągach wielkich żagliw jeden naprzeciwko drugiego; oddechają tam chwilę i znowu zaczynają się drapać na sam wierzchołek, jedną ręką trzymając się masztu, drugą muszkiet, narzędzie śmierci, unosząc z sobą. Nareszcie są tam już na samym wierzchołku, uginając się pod nim. Ja, chociaż stary wyjadacz morski, dziś trzęsę się jeszcze ze strachu, kiedy wam to rozpowiadam; na tym wierzchołku stoją już obydwaj, mając tylko za całą podporę ostrze żelazne, kończące maszt, na którym chorągiewka zawieszona. Tam razem z masztem, którym burza pomała, uginają się i podnoszą znowu, żeby się ugiąć na nowo. Nic nie może się przyrównać do tych dwóch ludzi zawieszonych w powietrzu nad morzem, wyłaczem na sto stóp pod nimi; nic nie może się przyrównać do tych dwóch istot żyjących, które zdjęte nienawistą poszły przeklinać się i zabijać w miejscach, gdzie tylko duch Boży ichtnieniem swem podbudza huragany, te straszliwe gniewy natury. Nic nie może się przyrównać do tych dwóch nieprzyjaciół, którzy znajdują, że ocean za mały dla nich do odbycia walki i w nieskończoności obszerniejszej przestrzeni szukają.

W tem pochylonem położeniu, celują obydwaj do siebie, czekając jednej chwili wolnej od wstrząśnięć, która im lepiej wystąpi wymierzyć dozwoli; bo wiedzą dobrze o tem, że czy zabiją, czy raniony tylko, ten z nich, który upadnie, pewno już nie powstanie więcej.

— Nie, nie możemy na to pozwolić, zawołała Prozerpina, która była jedyną przyczyną tej strasznej rywalizacji, nie, nie możemy na to pozwolić, żeby oni się tak mordowali... wszakże to oni nas uwolnili z więzów... wszakże to oni ocalili nas z niewoli i wygnania... to są nasi wodzowie... czy słyszycie, to wodzowie nasi... musimy ich ocalić... ocalimy ich... nie dozwólmy im ginąć.

Prozerpina, która dlatego tylko to mówiła, iż widziała dobrze teraz, że mulat jest przeciwnikiem niebezpiecznym, niezwykłym prawie, próbowała sama wyjść na maszt, na którego wierzchołku siedział Ascott, a przykład jej naśladowały inne deportowane przyzwyczajone być jej posłusznymi, jak gdyby swojej królowej, ale ich ręce delikatne, zleniwiałe nierządym życiem, ale ich nogi nieprzyzwyczajone napotykać szorstką

powierzchnię nieociosanego drzewa, odmówiły im swojego współdziałania. Zawisły one u lin, nie śmiejąc ani iść w górę ani spuścić się na dół. Podobne były w tej chwili do nereid i do syren, któreby przyszły brać szturmem okręt.

Słychać z tej wysokości niesłychanej, z której każdy odgłos słabiej, przerywając tak wielką przestrzeń powietrza, dwa wyszły muszkiety razem się odzywające; wszystkie głowy podnoszą się w górę, wszystkie wejrzania zwracają się na dwóch przeciwników. Ascott zachwiał się... przechyla się... zdaje się, że upadnie... ale nie, to Samuel upada z całej wysokości wielkiego masztu... Ascott zachwiał się tylko z powodu zbyt silnego naboju, którym muszkiet jego był naładowany. Samuel upada głową naprzód, prosto, z rękami jakby przylepionymi do ciała, z nogami złączonymi z sobą, z szybkością sirzali... jak szatan, kiedy go ręka Boska w oclafi rzuciła piekielną. Nawet krzyku nieusłyszano, tylko plana morska zaczerwieniła się w jednym miejscu. Samuela już nie było.

Zszedłszy spokojnie na pomost, Ascott rzucił się w objęcia Prozerpiny, która rzekła do niego: „Dziękuję mój kochanku, czy chcesz, żebym dla ochłodzenia cię, natoczyła ci krwi mojej w kieliszek?”

A porucznik Thompson zanotował na swoim raporcie wypadki dnia całego, chociaż dzień nie był jeszcze ukończony. Ale porucznik Thompson nie chciał się spóźnić z raportem.

„Samuel został zastrzelony, jak gołabek na wierzchu wielkiego masztu. — Prowadzenie się deportowanych jak najgorsze, te kobiety nie mają żadnej obyczajności — Zaczynają już na nowo. Nie wiedzieć, jak to wszystko się skończy”.

— Ależ majstrze Gandolf — przerwał znowu Junga — co się dzieje z deportowanymi, kiedy już przybędą do tego kraju, który, nie wiem dlaczego, nazywacie Australią.

— Używają je do różnych robót mniej więcej ciężkich, stosownie do liczby lat na trwanie ich deportacji oznaczonej, co zależy znowu jak zapewne sam, musisz się domyślać, od winy, skutkiem której dekret na nie zapadł.

— Ależ to musi być dziwny kraj, majstrze Gandolf, kiedy go zamieszkuje same tylko złodziejki, zabójczynie, podpalacze i oszuści.

— To jest jeden z najpiękniejszych krajów na kuli ziemskiej.

— Nie może być majstrze Gandolf.

— A tymczasem tak jest istotnie mój chłopcze. Sydney, Norfolk, Hobart Town, są to miasta tak pięknie urządzone, jak najpiękniejsze cyrkuly Londynu, Paryża, albo Wiednia. Hobart Town w szczególności zabudowane jest jak cacko, a jego mieszkańcy słyną z poczciwości i szlachetnego prowadzenia się. Zaledwie zdarzy się tam na rok w tem mieście deportowanych dwa przypadki morderstwa.

— Jakimże sposobem majstrze Gandolf i wszyscy ci zbredniarze przerabiają się tam na poczciwych ludzi, dzieciobójczynie na przykładne matki rodzin?

— Różnymi to dzieje się sposobami, a najskuteczniejszą cierpliwością; przekonywa się tam ich wszystkich, że jeżeli ich za i pokuta szczerą będą, to zbrodnie ich puszczane będą zupełnie w niepamięć; a poważanie w świecie jest konieczną potrzebą życia moralnego, tak jak oddychanie świeżem powietrzem fizycznego życia; ten sposób postępowania względem nich musi koniecznie oddziaływać na dobre, chyba to są idyoty albo potwory, a jeszcze i tacy poprawiają się tam czasami.

— Ale kiedy komu już wyszedł czas deportacji, to wszakże musi mu być wolno powrócić do Anglii?

— Nikt mu tego nie zabroni. Ale ci, którzy już się do tego pięknego kraju przyzwyczaili, za nic w świecie nie będą go już chcieli opuścić.

— Czy ty już raz u licha skończysz wszystkie twoje zapytania, Jungo! — zawołał jakiś majtek, którego ta lekcja etnografii strasznie niecierpliwiła. — Powiedz że nam majstrze Gandolf, co się tam stało dalej po śmierci Samuela.

— Czyż mam dalej mówić?

— A już cię, dlaczegożbyś miał przestać dalej opowiadać; już przecie spodziewam się, nic nie masz okropniejszego do opowiadania jak to, co słyszeliśmy: poucinali sobie języki, pozjadali uszy, strzelali do siebie z masztów...

— A, jeszcze wam nie rozpowiadałem o ich uczcie.

— Więc była uczta po zwycięstwie Ascotta?

— Jakto, czy była? i jeszcze jaka.

Majster Gandolf otarł czoło z potu, jak gdyby te straszne wspomnienia, które wywoływał sobie, urzeczywistniały się na nowo w jego wyobraźni.

— Nie — mówił dalej — niepodobieństwem jest wystawić sobie, ile ci majtkowie i te kobiety pożarli potraw i win, zdawało się, że półmiski nawet połkną.

Oto jest, o ile pamiętam, skład owego obiadu i porządek, w jakim półmiski były oczyszczane, tylko to jedno wyrażenie łomaczyć może obżarstwo biesiadników:

— Dwie wanny kremu czekoladowego. — Cały wół pieczony. — Po trzy kubki wódki dla każdego. — Plumpudding wielki jak tył naszego okrętu. — Jajka na occie. — Ryby z sosem i cebulą — konfitury z jagód — zwierzyzna — po trzy kubki rumu dla każdego — jajka na mleku z wanilią — szynki i wędzonki różne — konserwy z wiśni — raki morskie — kawa ze śmietanką — makaron włoski — trzy kubki araku dla każdego — pasztet z kawioru, pasztet z zającą — znowu wędzonki — bawarki — wino szampańskie...

— Stój majstrze Gandolf, stój, bo nam się aż w głowie kręci.

— I mnie się dyabelnie kręciło w głowie, kiedy to widział, a jednak jeszcze nie wylczyłem wszystkiego.

— Potrawa honorowa, potrawa honorowana na cześć Ascotta, który odniósł zwycięstwo nad mulatami — wołała Prozerpina.

I wszyscy zakrzykali, mężczyźni i kobiety:

— Tak, potrawa honorowa, potrawa honorowana na cześć Ascotta, ale jakaż to będzie ta potrawa honorowa?

— W tem cała trudność.

— Czy wy wiecie jaka?

— Nie! nie! nie!

— To kuchmistrz musi wiedzieć, niech powie.

— Tak, kuchmistrz i kuchmistrz! oto jest kuchmistrz!

— Kuchmistrzu — rzekli do niego — czy będziesz umiał wymyślić jaką potrawę honorową, niezwykłą, która by się nie zgadzała ze zwykłymi zasadami gastronomicznymi, potrawę, jakiej nikt nigdy nie widział, jakiej nikt nie będzie widział nigdy. Odpowiedz?

— Cóż chcecie, żebym wam odpowiedział — wyrzekł trzęsąc się cały ze strachu majster Christmas — ja nie znam takiej potrawy, ona nie istnieje wcale.

— To wymyśl jaką, albo już po tobie.

— No to będę próbował, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że nie będziecie mnie przymuszali jeść tę potrawę.

Zaczeli radzić pomiędzy sobą i nareszcie zgodzili się na ten warunek.

Kuchmistrz więc kazawszy sobie przynieść ten ogromny kocioł miedziany, w którym się przygotowywał poncz podczas walki Samuela z Ascottem, wlał w niego co tylko miał śmietanki, do tego pieczeń wołową, wódkę, ciasto migdałowe, plumpudding, jajka z octem, ryby, zwierzyznę, rum, wędzonki, wiśnie, raki morskie, kawę ze śmietanką, makaron włoski, arak, kawior, zającą, szykę, konfitury i wino szampańskie — i zmieszawszy to wszystko razem tak, że to tworzyło ogromną masę, w której niepodobieństwem było dojść pierwotnego składu potraw, zawołał:

— Pozwólcie sobie panowie, to się je na zimno.

Najodważniejsi spojrzeli się po sobie, zanim ośmielili się skosztować tej nieopisanej potrawy. Ale Prozerpina wzięła ogromną łyżkę wazową i swoją prześliczną ręką zaczęła każdemu na równe porcje rozdzielać.

— Majstrze Gandolf — przerwał Junga.

— Cóż znowu! — zawołał majtkowie — po co ty ciągle przerywasz majstrowi Gandolf.

— Pozwólcie mówić temu chłopcu, moi przyjaciele, no, czegoż chcesz się dowiedzieć?

— Czy należałeś do tej uczty?

— Naturalnie.

— Kosztowałeś tej potrawy honorowej?

— A jakże.

— I jakże ci smakowało?

— Majster Gandolf oblizał się, zanim odpowiedział.

— Żebym miał powiedzieć, że mi to nie smakowało, tobym skłamał.

(Ciąg dalszy nastąpi).